

# Krzysztof Sławski

---

## "Saga rodów gdyńskich", Edward Obertyński, Gdańsk 2004 : [recenzja]

---

Acta Cassubiana 7, 295-298

---

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Krzysztof Sławski

## Edward Obertyński, *Saga rodów gdyńskich*,

Wydawnictwo Finna, Gdańsk 2004, ss. 107

Edward Obertyński urodził się w Warszawie, a kształcił we Lwowie. Do Gdyni przyjechał za chlebem i tu osiągnął swe największe zawodowe sukcesy. Sam o sobie pisze, że był „bosym Antkiem” – przybyszem, który w poszukiwaniu nowego miejsca na ziemi przywędrował do Gdyni. Jak to się stało, że to właśnie on, przybysz, zabrał się za opisanie Gdyni i gdynian? Odpowiedź jest prosta – autor po prostu zakochał się w mieście, chociaż trzeba przyznać otwarcie, że Gdynia, jaką spotkał pierwszy raz, nie zachęcała do głębszego uczucia: *„Pierwsze zetknięcie z Gdynią było dramatyczne. Rodzina znajomych, u których miałem się tymczasowo zatrzymać, zmieniła miejsce zamieszkania, nie pozostawiając nowego adresu. Zostałem sam. Szukanie ich w obcym mieście nie miało sensu. Trzeba było jednak znaleźć lokum, albo przenocować.*

*Z poczekalni dworcowej wygonił mnie granatowy policjant, nie było też żadnego parku, w którym gdzieś na ławce mógłbym spędzić noc. Z trudem znalazłem na jakieś budowie duże rury betonowe, a w nich trochę słomy...”.*

Tak właśnie Gdynia witała wielu ludzi: na dworcu, z policjantami pilnującymi porządku. Może to zbieg okoliczności, ale kiedy czytałem wstęp do *Sagi rodów gdyńskich* napisany przez E. Obertyńskiego, na myśl przyszła mi historia młodego Ludwika Prączyńskiego z Kramarzyn, który w 1978 roku przyjechał do Gdyni w poszukiwaniu pracy. Pochodzący z biednej rodziny kaszubskiej młody człowiek nie miał się gdzie podziać, chciał nocować na dworcu, ale przeszkodził mu wówczas patrol milicji. Prączyński poradził sobie, znalazł pracę, kątem mieszkał na stacjach, by w 1980 r. być jednym z inicjatorów strajków Gdańskich. Najwyraźniej przybysze odnoszą pierwsze wrażenie „chłodnej” Gdyni, by po jakimś czasie pokochać ją bez opamiętania, tak jak E. Obertyński.

Autor we wstępie przyznaje, że to nie on jest autorem książki, ale rodziny, które udostępniły swoje archiwa ze zdjęciami i poprawiały zebrany materiał: „to

one [rodziny] są autorami tej książki. Ja odegrałem tylko skromną rolę »zaczynu razowego chleba« pozbierałem wspomnienia, uporządkowałem jej, a potem postarałem się o och wydanie». Pomińmy więc E. Obertyńskiego „skromności” i zajmijmy się omówieniem książki jego autorstwa. Książkę swą podzielił na kilkanaście rozdziałów. Oprócz wstępu zaprezentował 16 rodzin, a na końcu umieścił listę mieszkańców Gdyni z 1920 r. Autor przedstawił historie m.in. rodziny Skwierczów, Szroederów, Skelników, Vogtów, Kurowskich, Roszczynialskich, Tutkowskich. Nie zostali pominięci także ludzie wielce zasłużeni dla Gdyni: ksiądz Rybka, nauczyciel Jan Kamrowski czy sołtys Jan Radtke. Zaprezentowane zostały rodziny, które stanowiły niejako fundament rozwoju Gdyni po I wojnie światowej. Ale bez wątplenia nie jest to tylko książka o rodzinach. To książka o Gdyni sprzed I i II wojny światowej. To praca mówiąca o trudnych losach kaszubskiej społeczności, która walczyła o godny byt, ale także o zachowanie polskości i kaszubskiego charakteru miasta. Dziś, patrząc na Gdynię, niewielu ludzi pamięta trudną historię miasta.

*Saga rodów gdyńskich* to również wiele ciekawostek o życiu codziennym gdynian przedwojennych. O ich pracy na roli, o rozrywkach w sobotnie wieczory i niedziele, mimo że było ich niezmiernie mało: dzieci miały swoje lodowisko, dorośli spotykali się w gospodzie, gdzie popularne gry w „Baškę” i „Skata” były nieodłącznym elementem spotkań mężczyzn. Książka pokazuje, jak kaszubskie rody łączyły się, jak dochodziły do bogactwa. Ale zdarzały się też śluby co najmniej zaskakujące. Na uwagę w tym względzie zasługuje z całą pewnością Michał Skelnik, który pierwszy związek zawarł z o 10 lat starszą partnerką, a po jej śmierci wziął ślub ze starszą o 6 lat kobietą. Na dokładkę wystarczy powiedzieć, że w dniu drugiego ślubu Michał miał 67 lat, a jego partnerka 73! To się nazywa gorąca gdyńska miłość.

W przypadku opisanego przedwojennej rodziny Skelników niezwykłą relacją jest także historia Juliana Skelnika, który od lat zbiera materiały dotyczące przeszłości rodziny. Kilka lat temu otrzymał list od nieznanego mu Johna C. Skelnika z Pensylwanii. John odnalazł Juliana w internecie, a ponieważ jego hobby to zbieranie kontaktów o rodzinie, wysłał więc list do Polaka. Dzięki tej znajomości okazało się, że w USA żyje kilkaset osób spokrewnionych z polskimi Skelnikami. Julian wysłał więc swoje drzewo genealogiczne. „*Oni tam w Ameryce oszaleli ze szczęścia. Zасыpywali mnie mailami*” – wyjawił autorowi *Sagi*...

Podobnie ciekawą historię autor podaje w przypadku rysu biograficznego księdza Rybka, który miał dbać o polskości i katolickość Gdyni. Ta historia najlepiej oddaje, w jakich warunkach przyszło po I wojnie żyć gdynianom, jakie mieli uprzedzenia i jakimi kierowali się... stereotypami: „*Kiedy jeden z mieszkańców Gdyni, kupiec Hundsorff zwrócił się do niego o odsprzedanie mu części gruntu, celem zbudowania domu, ksiądz Rybka długo badał, co to jest za człowiek o dziwnie brzmiącym z niemiecka nazwisku i czy czasem nie jest »podstawiony przez Żydów«*,”

*zanim nie poznał go osobiście i nie stwierdził, że to »prawdziwy Polak«. To spotkanie zaowocowało potem długotrwałą przyjaźnią i spotkaniami przy skacie».*

*Saga rodów gdyńskich* pełna jest takich ciekawych historii. Jednakże już na samym początku lektury pojawiają się wątpliwości. Autor we wstępie podaje, że spośród 25 rodzin, dotarł do 20 i o nich napisał. Tymczasem z listy i rozdziałów wynika, że rodzin zaprezentowanych zostało 16. Trzeba od razu zaznaczyć, że prezentacja rodzin nie jest jednakowa. O ile pierwsze rodziny są opisane na kilku stronach z dokładnymi danymi, to im dalej w głąb lektury – opisy są skromniejsze. O ile rozumiały jest podział „według rodzin”, to już w II części książki spotykamy opisy nie rodzin, ale poszczególnych osób. Wymienieni w książce gdyńianie są bez wątpienia zasłużonymi, ale jeśli autor napisał „sagę” i na początku dzielił materiał według rodzin, to powinien być konsekwentny do końca.

E. Obertyński przyznał, że rodziny udostępniły mu archiwalne zdjęcia. I rzeczywiście, znalazły się w książce reprodukcje zdjęć, szkoda tylko, że w jednym – całościowym bloku, a nie przy poszczególnych rodzinach. Czytelnik miałby ułatwione zadanie – nie trzeba wówczas szukać historii rodziny i zdjęć oddających treść tekstu.

Zdarzają się i inne niedociągnięcia, co prawda drobne, ale warto je odnotować. Opisując ród Szroederów, autor umieścił krótki dialog pomiędzy wójtem Radtke a Franciszkiem Szroederem. E. Obertyński podaje, że wójt zwrócił się do kolegi tymi słowami: „*Franciszku, na stacji stoją wagony z cegłą*”. I ani słowa wyjaśnienia. Czy taki dialog mógł mieć miejsce? Z pewnością tak, jeśli chodzi o spotkanie i rozmowę. Problem polega na tym, że mało prawdopodobne, by Jan Radtke mówił do swojego kompana, którego znał zresztą bardzo dobrze, tak ładną polszczyzną. Językiem wówczas używanym z całą pewnością był kaszubski, więc cytaty powinny być w tym języku lub przydałyby się chociażby krótkie wyjaśnienia. Podobnie miał mówić Antoni Abraham do Szroedera po powrocie z konferencji w Wersalu „*Franku, udało się!*”.

Podobnie rzecz się ma z podziałem administracyjnym kraju po I wojnie światowej. E. Obertyński podaje (kilkakrotnie), że Gdynia należała do województwa toruńskiego, a zawiadywał terenem wojewoda toruński. Tymczasem w Toruniu była tylko siedziba wojewody, zaś nazwa województwa brzmiała „pomorskie”.

Zdarzają się autorowi także niekonsekwencje. Opisując ród Kurowskich, podaje, że najstarszy syn Maciej „*jak to było w zwyczaju w dawnych rodzinach – został przeznaczony do stanu duchownego, a gospodarstwo miał odziedziczyć jego brat Jan*”. Zazwyczaj było odwrotnie i przyznaje to sam autor, tyle że kilka stron dalej „*Na ojcowiznie, nieważne czy była to łódź rybacka, czy gospodarstwo zagrodnicze, pozostawał najstarszy syn jako dziedzic majątku, a reszta rozchodziła się w poszukiwaniu chleba i pracy*”.

Mimo tych drobnych niedociągnięć z całą pewnością *Saga rodów gdyńskich* to interesująca lektura. Pokazuje skomplikowane relacje kaszubsko-niemieckie,

prezentuje rozkwit Gdyni. Szkoda tylko, że autor, opisując poszczególne rody, najczęściej zatrzymywał się na latach 20. XX wieku. To także byłaby interesująca lektura – poznać np. dalsze losy sołtysa Jana Radtke, który po II wojnie światowej był przecież poniżany przez ówczesne władze ludowe. Takich „Radtke” było wielu. Ale być może to najlepszy przyczynek ku temu, by napisać kolejną część *Sagi*...